



RozJazdy

nr 8/2023

PISMO KOŁA TURYSTYCZNEGO



Sielsko anielsko, ale nie tylko...

Komu z nas nie marzy się odpoczynek z naturą w tle? A co powiecie na ciszę, spokój, wiejskie życie, jednym słowem jak pisał Jan Kochanowski: „Wsi spokojna, wsi wesola”. Ale czy na pewno tak wygląda rzeczywistość? Można to sprawdzić korzystając z dobrodziejstw agroturystyki. A co to takiego i na czym polega, dowiecie się oczywiście z artykułu zamieszczonego w tym numerze.

Jeżeli bardziej pociąga Was przygoda, niespodziewane sytuacje, zagraniczne podróże i piękno gór, to koniecznie przeczytajcie artykuł o wyprawie do Rumunii. Nie zawiedziecie się.

Jeśli czytając poprzednie artykuły zatęsknicie za miejskim krajobrazem, to zapraszamy na wycieczkę po Wilnie. Wraz z autorką będziemy przemierzać to piękne miasto, podążymy śladami Adama Mickiewicza i skosztujemy litewskich specjałów. Kroku dotrzyma nam czworonożny przyjaciel.

Opisując piękne zakątki Europy nie zapomnieliśmy również o stolicy Wielkopolski. Zapraszamy na spacer po Poznaniu. Dzięki artykułowi możemy poczuć się turystami w naszym pięknym mieście.

Dla czytelników, których w poprzednim numerze zainteresował wywiad z Łukaszem Wierzbickim zamieszczamy kontynuację rozmowy z podróżnikiem. Nie zabraknie również relacji z wyprawy Koła Turystycznego oraz stałego cyklu : Kontrola Graniczna.

Wszystkich bardzo serdecznie zapraszam do lektury nowego numeru RozJazdów.

Nikola Wolszczak
redaktor naczelna

SPIS TREŚCI:

- ZDJĘCIE NUMERU → s. 3
- WYWIAD Z ŁUKASZEM WIERZBICKIM → s. 4
- BĄDŹ TURYSTĄ WE WŁASNYM MIEŚCIE → s. 13
- Z KRONIKI KOŁA → s. 22
- Z LEONEM I TADEUSZEM DO KOŁA ŚWIATA → s. 25
- „LITWO OJCZYZNO MOJA...” → s. 30
- „NIGDY NIE WIESZ, CO SIĘ CZAI ZA KOLEJNĄ GÓRĄ” → s. 35
- AGROTURYSTYKA JAKO FORMA WYPOCZYNKU Z DAŁA OD MIAST → s. 41
- KONTROLA PASZPORTOWA → s. 44

RozJazdy nr 8/2023





We Włoszech zdarzyło mi się być kilka razy i prawie każdy raz kojarzy mi się z jedną rzeczą - spokojem. W domu, w Polsce, czuje jak bardzo wszyscy się wszędzie spieszą a tam wszystko dzieje się tak powoli, każdy ma w sobie spokój i zaraża nim innych. Podczas chodzenia po włoskich spokojnych a zarazem ruchliwych uliczkach łatwo można oczyścić sobie głowę i przemyśleć sprawy, które nas męczą. Dodatkowo widoki, które towarzyszą spacerom są nieziemskie, momentalnie pochłaniają nas w całości i zachwycają. Na pewno na długo nie wypadną mi z pamięci.

zdjęcie i tekst: **Matylda Deckert**

„PODRÓŻE OTWORZYŁY MI OCZY”

wywiad z ŁUKASZEM WIERZBICKIM (cz. 2)



Łukasz Wierzbicki —

poznaniak, autor książek podróżniczych i historycznych dla dzieci, podróżnik.

Autor m.in. „Afryki Kazika” i książki „Dziadek i niedźwiedź”. Założyciel wydawnictwa Pogotowie Kazikowe, jego spotkania autorskie cieszą się ogromną popularnością wśród najmłodszych i nieco starszych.

Zapraszamy na drugą część rozmowy z Łukaszem Wierzbickim. W poprzednim numerze „RozJazdów” zajmowaliśmy się przede wszystkim literacką twórczością naszego gościa, tym razem skupiamy się na podróżach. Ruszajmy zatem w szeroki Świat, w ślad za Łukaszem Wierzbickim!

- Tę część rozmowy musimy zacząć od pytania czy kiedy chodził Pan do szkoły, był Pan w kole turystycznym?

- W mojej szkole podstawowej nie było koła turystycznego, ale pod koniec siódmej lub ósmej klasy nauczyciel zajęć praktyczno-technicznych zorganizował wycieczkę do Kotliny Kłodzkiej. W kilkanaście osób spakowaliśmy plecaki i pojechaliśmy w góry. Nocowaliśmy gdzie popadnie, nie zawsze w schroniskach. Rodzice przez dwa tygodnie nie wiedzieli co się ze mną dzieje, gdzie jestem i nie było z tym żadnego problemu. Zawsze fascynowałem się podróżą i korzystałem z każdej możliwej okazji żeby wyrwać z domu. W liceum z kolegami próbowaliśmy namówić naszego wychowawcę na wyjazd w Karkonosze. Dyrekcja nie wyraziła zgody, więc nauczyciel wycofał się z pomysłu, ale my się nie wycofaliśmy (śmiech). Na własną rękę zorganizowaliśmy wszystko i pojechaliśmy! Można by to nazwać naszym własnym “nielegalnym” kołem turystycznym. Niestety nie mieliśmy nauczyciela, który takie koło by poprowadził.

- Jak udaje się Panu podróżować podczas pandemii?¹ Czy odczuł Pan jakąś dużą różnicę w możliwości organizowania wyjazdów?

- Z pewnością jest inaczej, natomiast staram się korzystać z każdej okazji. Rzeczywiście przed pandemią można było planować dowolny kierunek. Teraz, gdy podróżuję z dziećmi muszę dobierać kierunki nie tylko tak, żeby było dla nich komfortowo, ale również brać pod uwagę obostrzenia. Byłem z dziećmi w Australii, w Azji i w kilku miejscach w Afryce. Zaplanowanie takich podróży dziś byłoby trudne. Mam znajomych, którzy musieli zrezygnować z podróży, a nawet utknęli w odległym miejscu, Nepalu, czy Australii, właśnie przez sytuację pandemiczną. Dlatego nie planujemy z dużym wyprzedzeniem, a korzystamy z każdej możliwej sytuacji. Jesteśmy zaszczepieni, co nieco ułatwia

¹ Rozmowa odbyła się w lutym 2022, w czasie obowiązywania restrykcji mających na celu ograniczenie rozprzestrzeniania się koronawirusa

sprawę. Mam nadzieję, że niebawem podróżowanie znów stanie się prostsze.

- Wiemy już, że podróżuje Pan ze swoją rodziną. Jaką dałby Pan radę dla rodziców podróżujących z dziećmi?

- Cieszcie się czasem spędzonym razem. Każde miejsce kryje w sobie atrakcje dla osób w każdym wieku - zarówno dla dzieci jak dorosłych. Gdy byliśmy w Kambodży i podziwialiśmy starożytne miasto mój starszy syn bawił się, że jest bohaterem "Księgi Dżungli", a młodszy zauważył, że wspaniałą zabawą jest bawienie się w czerwonym pyłe, który unosił się z ziemi. Podróże rozwijają kreatywność dzieci, bo muszą dostosować swoje zabawy do otaczających je warunków. Czasem słyszę pytanie, po co brać dzieci w podróż? Że „przecież nie będą tego pamiętać”. Moim zdaniem nie chodzi tylko o to, żeby pamiętać, ale o to, żeby spędzać ten czas razem. Wspólnie czytamy książki czy oglądamy filmy i o to właśnie chodzi. By razem odczuwać emocje i spędzać czas. Wspólne podróże są jednym z najwspanialszych sposobów, żeby ten czas razem spędzić. Wielu podróżników jest samotnikami, a ja przekonałem się, że równie dobrze można cieszyć się wyjazdami dzieląc się nimi z kimś bliskim. Moja książka "Machiną przez Chiny" jest tego pięknym przykładem. Pokazuje jak dwoje młodych, zakochanych w sobie ludzi wyruszyło w świat. Spali na ziemi, głodowali, chorowali, ale dojechali do mety jako rodzina. Nie stworzyliby takiej relacji siedząc w domu pod opieką rodziców. To podróż sprawiła, że tak się ze sobą zżyli. Dotyczy to również tworzenia rodziny w relacji rodzice - dzieci. W momencie, w którym zarzucamy plecaki i idziemy przed siebie nie musimy szukać pomysłu na wspólną zabawę, bo te pomysły są wokół nas. Jest to wielkim atutem podróży. Za każdym razem dowiadujemy się o sobie czegoś nowego.

- Jakie trudne sytuacje w podróży zapadły Panu najbardziej w pamięci?

- Bardzo dobrze pamiętam pierwsze podróże. Wydawało mi się, że byłem do nich świetnie przygotowany, lecz gdy dotarłem na miejsce do Zimbabwe okazało się że jest zupełnie inaczej. Dużo rzeczy mnie zaskoczyło, wszystko było inne niż się wcześniej spodziewałem. Podobnie było w Chinach - powietrze było inne, zapachy, dźwięki, przestrzeń, czas inaczej płynął. Nie wspominając już o trudnościach związanych z dogadywaniem się. Był to bodajże 1999 lub 2000 rok. Na początku nawet nie poradziłem sobie z kupieniem biletu na stacji kolejowej. Spędziliśmy cały dzień na dworcu i biletu nie było. Po trzech tygodniach spędzonych w Chinach kupienie biletu zajmowała mi już tylko 5 minut. Czasem musiałem używać słowniczka polsko-chińskiego, czasem odgrywałem scenkę, by rozładować atmosferę. Zdarzyło nam się z kolegą udawać kłótnię, żeby zwrócić na siebie uwagę Chińczyków. To właśnie podróże otworzyły mi oczy na świat. Wcześniej nie potrafiłem sobie wyobrazić jego różnorodności. I nabrałem dystansu do problemów, które otaczały mnie na co dzień i wcześniej wydawały się najważniejsze na świecie. Wystarczy udać się gdzieś dalej i te problemy po prostu znikają, nie mają już tej wagi. Zawsze gdy wracałem z podróży uświadamiałem to sobie. Kiedyś poleciałem do Namibii na dwa tygodnie. Po powrocie do pracy (a pracowałem wówczas w banku) siedziałem przebrany w garnitur i dziwiłem się, że mój kolega śpieszy się, by odebrać telefon. Musiałem się na nowo przyzwyczaić do tych „strasznie ważnych” problemów, którymi wszyscy się emocjonowali.

Po jakimś czasie oczywiście na nowo wszedłem w codzienny rytm. Wiedziałem, że to sygnał, by znów „zakręcić globusem”.

- Szuka Pan takich nieoczywistych miejsc jeszcze przed wyjazdem, czy spontaniczne już na miejscu?

- Bardzo różnie. Czasem szukam, lecz nie zawsze się to udaje. Oczywiście zdarza się, że trzeba zobaczyć też jakieś oczywiste miejsce. Pojechać do Jordanii i nie zobaczyć świątyni, z której Indiana Jones

wyjechał na koniu to byłby grzech.

W Meksyku przeżyłem wspaniałą przygodę, która była dla mnie niesamowitą atrakcją, była to wizyta w cenocie. Cenoty to takie jeziora w jaskini, których w Meksyku jest mnóstwo. Wjechaliśmy do miasta i zobaczyliśmy drogowskaz, mówiący o tym, że niedaleko znajduje się cenota, więc postanowiliśmy zjechać z głównej drogi. Musieliśmy jechać przez dżunglę ze dwa lub trzy kilometry. Dojechaliśmy do wspaniałego miejsca, gdzie byliśmy praktycznie sami. Nie sędzę, bym wcześniej, przed wyjazdem znalazł w internecie informację o tym miejscu.



W poszukiwaniu śladów Kazika – Łukasz Wierzbicki w Afryce

- Jakie jest najbardziej zaskakujące spotkanie w podróży? Ktoś o kim pamięta Pan do dziś.

- Spotkanie z hieną w Zimbabwe było bardzo zaskakujące i nieprzyjemne. Należy do bardzo niemiłych wspomnień. Nocowaliśmy w namiotach w parku narodowym i chyba już nigdy więcej tego nie zrobię. Spałem w namiocie jednoosobowym podczas, gdy moi koledzy spali obok w namiocie dwuosobowym. Nagle w nocy usłyszałem ich krzyk, obudziłem się i poszedłem sprawdzić co się stało. Okazało się, że hiena rozdarła im płótno, weszła do namiotu i chwyciła jednego z kolegów za stopę. Dzięki jego nagłej reakcji hiena sobie poszła, ale to wcale nie oznaczało, że już nie wróci, że nie będzie wściekła i głodna. Nie zmrużyłem oka do białego rana. Leżałem z latarką na piersi i nasłuchiwałem. Czekałem, aż w końcu nadejdzie świt, będzie można się spakować i iść dalej.

Jeśli chodzi o spotkania z ludźmi myślę, że spotkanie z przyjaciółmi w Namibii było czymś wyjątkowym. W 2011 zamarzyłem sobie, żeby pojechać przez Afrykę konno śladem Kazimierza Nowaka, czyli bohatera z mojej książki "Afryka Kazika". Chciałem polecieć do Namibii, znaleźć miejsce gdzie on przesiadł się na konia i ruszyć konno przez sawannę. Może niekoniecznie 3000 kilometrów tak jak on, ale chociaż symbolicznie. Wysłałem dziesiątki maili w różne miejsca w Namibii, szukając kogoś kto byłby w stanie pomóc mi kupić lub pożyczyć konia i... nie udało się. Wszyscy traktowali mnie jak jakiegoś kosmitę, nie odpowiadali na maile. Internet tam jest trochę inaczej traktowany, nie jako narzędzie codziennego użytku, przynajmniej nie we wszystkich miejscach. Poleciliśmy więc w ciemno. W miejscowości Gobabis znalazłem punkt szczepień weterynaryjnych z mapą wszystkich farm. Poszedłem do pani i powiedziałem, że szukam farmy Gumuchab i jej właściciela. Okazało się, że farmer stał obok w kolejce, bo chciał zaszczepić swoje bydło to jeden z tych, do którego słałem emaile z Polski. Zaproponował mi, abym pojechał z nim do jego gospodarstwa.

Rozbiliśmy u niego namiot i spędziliśmy wspaniały czas. Poznaliśmy też innych farmerów, od których udało nam się pożyczyć dwa konie. Gdy zapytałem o cenę wypożyczenia właściciel tylko machnął ręką szczęśliwy, że może pomóc nam spełnić marzenie. Od tamtej wyprawy nie udało mi się jeszcze wrócić do Namibii, ale bardzo chciałbym móc ich jeszcze kiedyś odwiedzić.

- Konno przez Afrykę - musiało być to bardzo duże wyzwanie.

- Przejechaliśmy około 50 kilometrów. Mieliśmy zaplanowane postoje u farmerów, którzy już o nas wiedzieli. Była to też pierwsza podróż z moim synem, i było to dla nas sprawdzianem czy warto podróżować z dziećmi. Mieliśmy ustalone miejsca, w których w razie gdyby coś się stało, szukalibyśmy pomocy. Wszystko więc przemyśleliśmy wcześniej. Takie podróże pokazały mi jak bardzo ludzie są pomocni i że zawsze możemy liczyć na pomoc w trudniejszych sytuacjach.



Konno przez Namibię

- Jak trudne technicznie było jeżdżenie konno w Afryce?

- Wbrew pozorom okazało się bardzo łatwe. Konie były przyzwyczajone do tamtejszego klimatu. Zdziwiło mnie, że nie chciały w ogóle pić. Mimo, że mieliśmy dla nich specjalną miskę nie chciały z niej korzystać, nawet gdy podtykaliśmy im ją pod pyski. Koniki były drobniejsze i mniejsze od naszych. Czuliśmy się jak dzieci prowadzone za rękę, bo farmerzy zaplanowali nam wszystkie przystanki. Mimo tego, nie zawsze wszystko szło po naszej myśli i ostatecznie przerwaliśmy wyprawę trochę wcześniej niż planowaliśmy. Jedna z klaczy okulała, a drugą otarło siodło, więc zdecydowaliśmy się odpuścić i zakończyć przygodę.

Konno przez Namibię



- Czy to była Pana jedyna wyprawa konna?

- Pamiętam także cudowną wyprawę konną w Chinach. Koniki okazały się tak drobniutkie, że aż głupio było mi na jednego z nich wsiadać. Musiały iść po kamienistych ścieżkach i wspinać się po górach, do czego były przyzwyczajone. Gdy byłem w Peru na szlaku wzdłuż ruin Inków spotkałem małego chłopca, który wypożyczał konie i razem z nim pojechałem na wyprawę konną. Wszędzie, gdzie jest taka możliwość to chętnie z niej korzystam, mimo tego, że na świecie jest coraz mniej szlaków konnych. Mam nadzieję, że jeszcze do tego wrócę i pojeżdżę konno, bo są to wspaniałe przeżycia.

Z rodziną w Malezji



W spotkaniu z **Łukaszem Wierzbickim**,
które odbyło się 7 lutego 2022 r., udział wzięli
Gabriela Kurowska, Małgorzata Lichota, Zofia Sadło i Piotr Ciesielski,
rozmowę spisała **Dobrochna Szafraniak**.

Zdjęcie z wywiadu: archiwum RozJazdów

Zdjęcia z wypraw Łukasza Wierzbickiego : Łukasz Wierzbicki

Z WIZYTA U PRZYJCIÓŁ

Są takie obszary historii i miejskiej przestrzeni, do których Poznań nie ma szczęścia. Udanych pomników jest w naszym mieście nadal mniej, niż tych nieudanych. Trwające od kilkunastu lat odwracanie się miasta w kierunku rzeki jest procesem powolnym i przynosi dość dyskretnie efekty, które nie rzucają się w oczy, szczególnie gdy wróci się z wycieczki do Wrocławia. Nie ma też Poznań szczęścia do dziedzińców. Otoczone zabytkową zabudową podwórce tworzą atmosferę niejednego starego miasta. Są lubiane przez mieszkańców i chętnie odwiedzane przez turystów. Ile takich dziedzińców znajdziemy w Poznaniu? Dawne Kolegium Jezuickie, Szkoła Baletowa, Akademia Lubrańskiego, może zamkowa masztalarnia – nie naliczyliśmy zbyt wiele. Jest jeszcze na szczęście dziedziniec Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk! I tam właśnie wybierzemy się dzisiaj w ramach cyklu „Bądź turystą we własnym mieście”.

Musimy zatrzymać się gdzieś w połowie drogi pomiędzy Okrąglakiem a placem Cyryla Ratajskiego. Najlepiej na początku stanąć na chodniku po południowej stronie ulicy Mielżyńskiego. Stamtąd można zobaczyć okazałą fasadę, którą w klasycystyczny kostium ubrał Roger Sławski. Nie będzie nas jednak zajmował budynek, ani

historia szacownej instytucji. Choć przyznać trzeba, że dzieje Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół nauk są ciekawe, rozpoczynając się w 1857 roku od intrygująco brzmiącej nazwy Muzeum Starożytności Polskich i Słowiańskich. Pięknymi zgłoskami zapisał się też w kronikach Towarzystwa patron naszej szkoły Karol Libelt, który w latach 1868-1875 piastował funkcję prezesa. Nas interesować będzie podczas dzisiejszego spaceru przede wszystkim dziedziniec i zgromadzone na nim osobliwości, pora więc przejść przez monumentalny portal i znaleźć się pośrodku zupełnie innego niż gwarna wielkomiejska ulica świata. Nieregularne w swoim kształcie podwórko otoczone renesansowo-barokową dekoracją, tworzy kameeralną przestrzeń, wypełnioną zielenią, kawiarnianymi stolikami i historycznymi pamiątkami. Już wiemy, że znaleźliśmy prawdziwą perłę!



Dziedziniec Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk

Zapewne od razu dostrzeżemy stojącą pośrodku dziedzińca postać, która wydaje się niczym pan domu witać wszystkich gości. Wyjątkiem będą sytuacje, kiedy inni gospodarze zaplączą się gdzieś między naszymi nogami. Od wielu lat honory domu pełniły bowiem dwa koty. Czarny to Flaszka, a biały Kapsel, choć ten ostatni niedawno opuścił podwórko. Bądźcie więc dyskretni, żeby nie przepłoszyć czworonożnych lokatorów. Wróćmy jednak do postaci na środku podwórka, w której bez trudu rozpoznamy Adama Mickiewicza. Choć pomnik stoi w tym miejscu zaledwie 24 lata, to odwołuje się do liczącej sobie prawie dwa wieki historii upamiętnienia wieszczą przez poznaniaków. Nasze miasto było pierwszym na ziemiach polskich, które postawiło słynnemu poecie pomnik! Monument stanął zaledwie 4 lata po śmierci Mickiewicza w ogrodzie przy kościele pw. świętego Marcina. Postać wykonana została w kamieniu conflant przez Władysława Oleszczyńskiego, który osobiście poznał wieszczą. Wizerunek był więc wierny i nie sposób odmówić mu uroku. Niestety poddany warunkom atmosferycznym kamień po kilkunastu latach nie prezentował się już okazale, dlatego w 1904 roku wykonano odlew z brązu, a oryginał trafił na dziedziniec Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Obie rzeźby spotkał smutny los, zostały zniszczone przez okupanta podczas II wojny światowej, pozostał tylko pusty cokół za kościołem świętego Marcina, który znajdziecie spacerując w kierunku Starego Rynku. Po wojnie Adam Mickiewicz w zupełnie innej kreacji zagościł na placu pomiędzy zamkiem a uniwersytetem. I to właśnie rzeźba zaprojektowana przez Bazylego Wójtowicza dzisiaj najbardziej kojarzy nam się z hasłem „pomnik Mickiewicza”. Historię XIX wiecznej figury postanowiono przypomnieć stawiając jej kopię na dziedzińcu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przysiadając na ławeczce i spoglądając na wieszczą można zdecydować, który poznański wizerunek Mickiewicza podoba się nam bardziej i podumać o zawitych losach pomnika oraz uczuciu, którym poznaniacy darzą wieszczą.

Wśród wielu tablic upamiętniających wybitne osobistości znajdziemy tę poświęconą Pawłowi Edmundowi Strzeleckiemu, którą zawieszono na dziedzińcu 8 października 1984 roku. Wybór ten nie jest podyktowany tylko zawodową powinnością (wiadomo, że podróżnik i odkrywca ma największe szanse na znalezienie uznania w oczach nauczyciela geografii), ale również niezwykłością postaci. Liczne eksploracje dokonane przede wszystkim na obszarze południowo-wschodniej Australii i nazwanie najwyższego szczytu kontynentu Górą Kościuszki, są nam zapewne

znane. Czy wiemy jednak, że urodzony w Głuszynie globtroter w nowatorski sposób pomagał ofiarom Wielkiego Głodu w Irlandii? Czy zajrzeliśmy do wydanej przez niego 500 stronicowej książki opisującej geograficzne badania w Australii, której gratulował mu sam Karol Darwin? Czy słyszeliśmy o romantycznej historii niespełnionej miłości do Adyny Turno, która swoje odzwierciedlenie znalazła na mapach? To zaledwie kilka intrygujących faktów z życiorysu Strzeleckiego, a ciekawych opowieści dotyczących podróżnika jest znacznie więcej. Postać to wyjątkowa, niestety nawet przez poznaniaków zapomniana. Dobrze więc, że nadchodzący rok 2023



Przedwojenny pomnik Adama Mickiewicza przy kościele pw. św. Marcina

ogłoszony został „Rokiem Pawła Edmunda Strzeleckiego”. Jest szansa, że wielkiego odkrywcę spotkamy nie tylko na dziedzińcu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Na ścianach gmachów otaczających podwórzec są też obiekty niepozorne. Wydaje się, że to tylko dekoracja, która z resztą niezbyt pasuje do całości. Jeśli jednak dobrze się przyjrzeć i wsłuchać, okaże się, że zdobienia i dziwny kuliasty kształt mają do opowiedzenia niezwykłą historię. Łatwiej jest zidentyfikować trzy kartusze. Monogramy imienia Maryja oraz IHS, a także Góra Karmel z krzyżem otoczonym



trzema gwiazdami wskazują, że ozdoby te musiały się kiedyś znajdować na budynkach zakonu karmelitańskiego, choć nie ma pewności na których. Co wmurowano w ścianę poniżej środkowego kartusza? Tak, tak, intuicja podpowiada nam poprawne rozwiązanie tej zagadki. To żeliwna kula armatnia. Jedna z tych, które ładowano do armat podczas oblężenia miasta przez wojska saskie i rosyjskie w 1704 roku. Być może pocisk nie zniszczył zabudowań klasztornych, które znajdowały się wówczas w pobliżu murów miejskich i przechowano go na pamiątkę ocalenia. Praktyka ta jest dobrze znana - kule tkwiące w ścianach kamienic znajdziemy m.in. w Bydgoszczy, Toruniu i Krakowie, a bardziej współczesny niewybuch z czasów drugiej wojny światowej pozostawiono we wnętrzu katedry pw. świętego Wawrzyńca w Genui.

Jeśli potrzebna nam jest chwila przerwy to warto zajrzeć do literackiej kawiarni „U Przyjaciół”. Wystój i nastój panuje tu zupełnie wyjątkowy, a posilić możemy nie tylko ciało, ale również ducha o co zadba związany z kawiarnią teatr. Opuszczając dziedziniec zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę przy okienku portiera i przyjrzyjmy się nieco bliżej prostokątnej żeliwnej tablicy. Wygląda



Kula armatnia wmurowana w ścianę

znajomo? Bardzo możliwe, bo podobne inskrypcje umieszczono m.in. w Buku, Wierzenicy, Pogrzybowie, Jaraczewie, a nawet bardziej odległych Gliwicach i Cieszynie. Tak naprawdę akcja miała mieć jeszcze większy rozmach, bo organizatorzy planowali przyozdobić w ten sposób każdą parafię w archidiecezji poznańskiej i gnieźnieńskiej. Dokoła tablicy umieszczono napis, który podsuwa nam wskazówkę jakie wydarzenie miała upamiętniać: „Był człowiek posłany od Boga któremu imię było Jan”. Jeśli jeszcze mamy wątpliwości to na pewno rozwieje je łacińska sentencja: „Veni, vidi, Deus vicit”. W taki właśnie sposób poznański komitet postanowił uczcić 200 lecie odsieczy wiedeńskiej. Autorem napisów był członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Władysław Niegolewski, a tablice odlewano w fabryce narzędzi rolniczych na Łazarzu. Niegolewskiemu nie sposób odmówić poczucia humoru, w oficjalnym tonie zadrwił chyba nieco z zaborców umieszczając na tablicy napis:

„Na prośby Ojca Świętego i pokorne (sic!) błagania Rzymskiego Cesarza Niemiec Jan III Sobieski (...) pod oblężony Wiedeń przybywa” i dalej „Król Polski ratuje Niemcy i chrześcijaństwo”. Ostatecznie od zawieszenia tablic we wszystkich kościołach Wielkopolski organizatorzy odstąpili, ponieważ obawiali się, że takie działanie zostanie odebrane przez władze zaborcze jako prowokacja. Można jednak podczas wędrówek po regionie spróbować odnaleźć egzemplarze bliźniacze do tego, który znajduje się przy Mielżyńskiego. Może do wymienionych powyżej miejscowości dopiszemy kolejne?

Wspomniane w naszym spacerze na łamach „RozJazdów” tablice i osoby nie są szczegółowym opisem historycznych pamiątek, które umieszczono na dziedzińcu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Tak naprawdę osobliwości, reliktyw i śladów jest w tym miejscu znacznie więcej. Niepełne ujęcie nie wynika jednak z lenistwa autora, nie jest to też zaniedbanie, ale celowym pozostawieniem czytelnikowi pola do własnych poszukiwań i odkryć. Jeśli chcecie odnaleźć miejsca obdarzone genius loci, dziedziniec Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk jest taką przestrzenią na pewno. Zajrzyjcie na Mielżyńskiego i przekonajcie się sami!

Tekst: **Piotr Ciesielski**

Korzystałem z:

P. Matusik, Poznańskie pomniki Adama Mickiewicza, w: KMP 2/2001, Poznań 2001

Z. Ostrowska – Kłębowska, Architektura i budownictwo w Poznaniu 1780-1880, Poznań 2009

J. Pazder (red.), Atlas architektury Poznania, Poznań 2008

brozury „Pamiętki narodowe w gmachu Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk” wydanej przez PTPN, Poznań 2012

Za nieocenioną pomoc w ustaleniu historii tablic upamiętniających odsiecz wiedeńską kłaniam się nisko Włodzimierzowi Buczyńskiemu.

Zdjęcia ilustrujące artykuł pochodzą ze zbiorów własnych autora.

MAŁE JEST PIĘKNE – KOŁO TURYSTYCZNE W DOLINIE KRÓLÓW

Tekst jest relacją z wyprawy Koła Turystycznego w Góry Sokole. Wyjazd odbył się w dniach 31 marca – 1 kwietnia 2017 roku, udział w nim wzięło piętnaście osób oraz opiekunowie prof. Martyna Kęsik, prof. Jerzy Matuszewski i prof. Piotr Ciesielski.

Kto chciałby wysiadać z pociągu jeszcze przed Jelenią Górą? Przecież wystarczy poczekać kilkadziesiąt minut i jest się w najwyższej części Sudetów czyli w Karkonoszach. Szklarska Poręba, Szrenica, Śnieżne Kotły – miejsca, które miłośników gór przyprawiają o żywsze bicie serca. A Janowice Wielkie, Wojanów i pagórki, których wysokość nie przekracza 700 m n.p.m.? Czy można znaleźć tam coś ciekawego? Po co wysiadać z pociągu kilka stacji przed Jelenią Górą?

Po raz kolejny członkowie Koła Turystycznego przekonali się, że warto zejść z utartych szlaków, a wiosenny wyjazd w będące częścią Rudaw Janowickich Góry Sokole okazał się strzałem w dziesiątkę. Trudno w Sudetach trafić w miejsce, które bardziej urzeka widokami ¹.

¹ Podobno jeszcze piękniej Karkonosze wyglądają z pobliskiej Różanki. Wyglądają tak pięknie, że słynny Aleksander von Humboldt umieścił ten widok wśród „7 najpiękniejszych na świecie” – może kiedyś się o tym przekonamy?;)



W tle Grzbiet Karkonoszy

Przez dwa dni wędrówek po szlakach cały czas towarzyszyła nam ośnieżona panorama grzbietu Karkonoszy od przełęczy Okraj aż po Szrenicę. „Nasze” góry były znacznie niższe, ale mimo tego, że Sokolik Wielki liczy sobie tylko 623 m n.p.m. to wspinaczka na czubek granitowej turni dostarczyła nam wielu emocji.

Trafiliśmy w miejsce magiczne bowiem Kotlina Jeleniogórska nazywana jest Doliną Królów. W małych miejscowościach, takich jak Karpniki czy Wojanów, odszukaliśmy zamki i pałace, które stawiali tutaj pruscy królowie i książęta. Podziwialiśmy ogrody projektowane przez Petera Josepha Lenne (tego samego który tworzył zieleń w Berlinie czy Poczdamie), byliśmy zaskakiwani takimi osobliwościami jak głąz z Wyspy Świętej Heleny, na którym siadywał Napoleon czy armaty, z których brytyjskie wojska strzelały podczas wojen w Indiach.

Oprócz wspomnianych atrakcji turystycznych sami odkryliśmy też miejsca, które zachwyciły nas swoim *genius loci*. Tajemnicze ruiny Zamku Bolczów i Krzyżna Góra, z której podziwialiśmy zachód słońca na długo pozostaną nam w pamięci. Jeśli do tego wszystkiego dodać drewniane schronisko w stylu tyrolskim, 30-kilometrową wędrowkę, cudowną pogodą i wspólnie spędzony czas to nie ma wątpliwości, że warto było przekonać się, że małe góry też mogą być piękne! Warto było wsiąść z pociągu kilka stacji przed Jelenią Górą.

Na szczycie Sokolika



Gdzie wyruszymy dalej? Ornitologiczne tropy po Górach Sowich i Sokolich prowadzą w Góry Krucze:) Pięknie tam i ciekawie, ale oglądany przez dwa dni Grzbiet Karkonoszy też kusi... O naszych planach na pewno będziemy informować i zapraszać do udziału w kolejnych wyjazdach wszystkich chętnych uczniów „Dziwiątki”.

Z LEONEM I TADEUSZEM DOOKOŁA ŚWIATA

“W Rio de Janeiro - najpiękniejszym mieście świata”

Ostatnim razem dane było naszym podróżnikom posmakować wraz ze śmiałymi, lekko tylko nieokrzesanymi rodakami przeprawy interkontynentalnej. Dziś, stawiawszy pierwsze dumne kroki w Brazylii ich wzrok przykuwa Rio - niezapomniane miejsce, które oprócz zachwytów wizualnych sprawia Leonowi i Tadeuszowi niezapomniany prezent pożegnalny.

Ale po kolei. Pierwsze kroki postawione w mieście ujawniają typową dla Ameryki Południowej dzikość, lokalny koloryt, na który składają się zarówno różnorodność zabudowy połączonej z nieposkromioną roślinnością, jak i ludzie, tak różniący się na pierwszy rzut oka od tych, z którymi nasi podróżnicy mieli na co dzień do czynienia. Pozornie zwykły spacer po bulwarach staje się kolejnym - po widoku ze statku - powodem aby wychwalać to miejsce. Tadeusz Perkitny w charakterystycznym dla siebie stylu opisuje to tętniące życiem miasto:

"Przeróżne cudy-niewidy rozproszone gdzie indziej na szerokiej przestrzeni zderzają się tutaj niemal w jednym punkcie. Obok monumentalnych gmachów strzelają ku niebu niemal pionowe, mchem porośłe ściany skalne. Obok marmurowych pomników kipią tropikalne gąszcze. U stóp górskich łańcuchów dymią transatlantyczne parowce. Złociste plaże graniczą z asfaltem. A nawet rzeczy tak prozaiczne, jak autobusy, tramwaje, wózki z lodami albo napisy

reklamujące maść na nagniotki ukazują się tutaj na tle tak poetyckim, jak gaje palm kokosowych, plantacje bananów, dziewicze bory i kręte odnogi wszędobylskiej zatoki, usianej tysiącem skał, ze sławną Głową Cukru - Pao de Asucar - na czele.

Nie mniej różnorodni są mieszkańcy tej pięknej stolicy.

Można powiedzieć śmiało, że kolor ich skóry przyjmuje wszelkie możliwe odcienie od czystego mleka począwszy, poprzez kawę w różnym stopniu zaprawioną mlekiem, aż do czarnej mokki włączenie. Wielu przechodniów ma na policzkach podejrzone krosty i podskórne guzy, co przy ciemnej cerze upodabnia ich twarze do tabliczek czekolady obficie nadziewanej orzechami. Nieszczęsne señority i señory próbują oczywiście ukryć to wszystko pod patyną szminki i pudru, nakładaną już nie tylko tamponikiem waty, lecz chyba kielnią murarską. Na cerze zbliżonej do mleka jest to jeszcze jako tako znośne. Na cerze typu mokka natomiast przyprawia człowieka o mdłości. Im ciemniejsza skóra, tym bielszy musi być puder - rozumują, jak widać, mieszkanki Rio de Janeiro. Zaś rezultatem owych rozumowań są trupie czaszki w odcieniu białofiołkowym, które płożą wróble i spędzają sępy na ulice miasta.”

Niebawem również miejska dżungla staje się dla podróżników źródłem obserwacji niezwyklej i zdawałoby się niemożliwej w tak ”niezależniającej się” od spuścizny kulturowej europejskiej Brazylii.

“Rząd chce przekonać świat, że Brazylia nie jest czyjąś tam kolonią, lecz suwerennym mocarstwem, nic a nic nie gorszym od mocarstw europejskich. Rząd pragnie - inaczej mówiąc - wykazać, że Rio de Janeiro posiada elegancję Paryża, tradycję Londynu, kulturę Wiednia i klimat co najmniej tak chłodny jak Sztokholm. Tam gdzie jest wytwornie, kulturalnie i chłodno, tam nikt nie chodzi bez marynarki i w korkowym kasku. Ergo - rozumuje dalej rząd brazylijski. - gdzie nikt nie chodzi bez marynarki i w kasku, tam musi być wytwornie, kulturalnie i chłodno!

Rezultat takich rozwiązań widać na ulicach Rio. Pod małymi kapelusikami przypiekają się dżentelmenom mózdzki na sposób wiedeński. Spod grubych marynarek i sztywnych kołnierzyków leją się wytwornemu światu siódme poty w kangarnowe spodnie z nienagannym kantem. Zaś najbardziej eleganckie elegantki prażą się we własnym sosie pod kłakami... futer, aby wykazać, że w zimie noszą się tak samo, jak rdzenne paryżanki. Bo skoro teraz właśnie kalendarz wskazuje zimę, to kiedy, u licha, ta biedna rioska elegantka ma z naftaliny wyciągać swe futro? Czy okoliczność tak błaha, jak upał trzydziestu pięciu stopni w cieniu ma ją powstrzymać od pokazania światu swych karakułów, żrebców lub polarnych niedźwiedzi?”



Leon (pierwszy z lewej) i Tadeusz (trzeci od lewej) na podróżniczym szlaku
Zdjęcie pochodzi z archiwum rodziny Mroczkiewiczów

Jednak co pozostaje nieodmienne, wieczne, rdzennie brazylijskie to przepych, masa barw i kolorów, dźwięków, które powodują, że

miejsce to nie może się kojarzyć naszym podróżnikom inaczej niż z lunaparkiem. Szczególnie wieczorem, gdy ulice zdają się zasysać ludzi w korowodzie świateł, krzykliwych składów przeróżnych towarów na sprzedaż, puszczającej lampiony dzieciarni nasi podróżnicy zauważają, jak w najpiękniejszym mieście świata na ich oczach odsłania się przed nimi zupełnie nowe, tętniące życiem wesołe miasteczko.

Jednak nasi patroni, choć zachwyceni samym miastem, przyniesieni malejącą liczbą funduszy, obniżywszy gwałtownie oczekiwania noclegowe radzi są napotkawszy na swojej drodze zgoła nieoczekiwaną zmianę scenerii.

“Bo proszę tylko pomyśleć! Pośród palm i agaw na marmurowej werandzie poselstwa polskiego w Rio de Janeiro odbywa się coś, co można by nazwać dyplomatyczną kolacją. Posła wprawdzie nie ma, bo jeden wyjechał, a drugi jeszcze nie zdążył przyjechać. Dyplomatów też nie ma, bo nikt ich nie prosił. Jest tylko młody sekretarz poselstwa, pan Głuski. Jest wino, pasztet, Leon, ja i nasza dyplomacja w kierunku zdobycia jakiejś posady, rady, porady lub czegoś w podobnym gatunku.”

Tak więc Leon i Tadeusz zjadłszy obfitą kolację, pachnący wodą kolońską, wystrojeni w nakrochmaloną bieliznę oraz spodnie z podwójnym kantem kierują wzrok ku dalszej drodze, z dala od kolorowych dźwięków nocnego życia stolicy (tak, stolicy, gdyż wyprawa naszych asów ma miejsce w roku 1926, gdy Rio de Janeiro wciąż jeszcze piastuje dumne miano stolicy Republiki Brazylii). Ucieszywszy pana sekretarza gotowością podjęcia każdej możliwej pracy zostają oni nagrodzeni przejazdem bezpłatnym do stanu Parana, gdzie o pracę łatwiej niż w pięknym, lecz borykającym się z bezrobociem Rio. Zachwycony obrotem spraw Tadeusz tak podsumowuje ich dotychczasowy pobyt na tymże kontynencie:

“Bo czegoż nam w tej chwili może jeszcze brakować do szczęścia? Wokoło nas lśni marmurem taras. Wkoło tarasu pachną orchidee i parna noc tropikalna cyka świerszczami. Od spodu chłodzą nas przewiewne wiklinowe fotele. Od środka zaś zamrażają nas lody o smaku ananasa, spożyte przed chwilą w zawrotnych ilościach. A do tego wszystkiego jeszcze patefon grający “Walencję” i perspektywa dwóch dalekodystansowych biletów, które mamy otrzymać za darmo! Doprawdy trzeba być takimi jak my włóczęgami, trzeba wyjść, tak jak my, prawie bez grosza z czeluści międzypokładzia i walczyć z pluskwami trzeciorzędnego przytułku, aby należycie docenić wręcz historyczne znaczenie tego wieczoru.

Już nazajutrz o świcie bowiem po tej wykwintnej wieczerzy w poselstwie zwala się do nas drzwiami i oknami najbardziej skrajne dziadostwo. Najpierw stoimy obok Wojtków, Maciejów, Błażejów i Bartków, starając się dorównać im w pociąganiu nosem, spluwaniu przed siebie, skrobaniu się po kudłach i bezradnym kręceniu kapeluszy w palcach.

Po pięciu godzinach odpowiadamy tłumaczowi na pytania takie, jak: “Czytać drukowane umita?”, “Podpisać się potrafit?”, “Babę i dziecka mota?”.

Po dziesięciu godzinach dają nam piąty z rzędu zastrzyk przeciw tyfusowi, proszek przeciw insektom i tabliczkę z numerem do zawieszenia na szyi przeciw zaginięciu.

Po dwunastu godzinach wreszcie wręczają polecenie na piśmie, aby za dwa dni o świcie stawić się w porcie, i to przy basenie numer 8, gdzie zazwyczaj nie ładuje się ludzi, lecz roga- i nierogaciznę.”

I w ten oto sposób Leon i Tadeusz, niczym wzorowi chłoporobotnicy, wyruszają na podbój pracującej Brazylii.

Ciąg dalszy nastąpi...

Tekst: [Maria Opiela](#)

“Litwo Ojczyzna moja...” - śladami Mickiewicza w Wilnie

Do Wilna wybrałam się na początku września. Wyruszyłam wczesnym, niedzielnym rankiem, ponieważ czekała mnie ponad dwięciogodzinna jazda samochodem. Moja trasa wiodła przez Warszawę i okolice Augustowa. Granicę litewską przekroczyłam późnym popołudniem. W oczy od razu rzuciły mi się niewielka gęstość zaludnienia poza obszarami miejskimi oraz gęste lasy iglaste, poprzecinane rozległymi polami. Zaskoczył mnie również bardzo mały ruch samochodowy.

W Wilnie jako pierwsza przywitała mnie słynna wieża telewizyjna¹. Do mieszkania, które wynajęłam dotarłam późno w nocy, więc postanowiłam poczekać z odkrywaniem miasta do rana. Dodatkową niespodzianką była inna godzina na zegarze ściennym, niż na tym, na moim nadgarstku. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że Litwini tak samo jak my zmieniają czas na letni i zimowy.

Poniedziałek był dniem zapoznawczym z Wilnem. Klucząc wąskimi uliczkami opracowałam dwie trasy z domu do centrum i na Stare Miasto. W międzyczasie zajrzałam do Ogrodu Bernardyńskiego², odkrywałam jego zakamarki i malowniczy punkt widokowy oraz wspierałam się na Górę Giedymina³.

¹ Wileńska wieża telewizyjna jest jednym z symboli walki o niepodległość i uniezależnienie się Litwy od ZSRR, została ostrzelana przez wojska rosyjskie w latach 90. XX wieku.

² Ogród Bernardyński został założony w XV wieku. Na początku służył jedynie mnichom, w późniejszych latach stał się miejscem publicznym. Dziś pięknie odrestaurowany służy mieszkańcom Wilna jako miejsce spotkań i relaksacji.

³ Na Górze Giedymina wznosi się baszta zachodnia zamku górnego. Nazwa wprowadza w błąd, ponieważ tak naprawdę wybudowano ją za czasów księcia Witolda, tj. w XV wieku. Stanowi jeden z głównych punktów widokowych na panoramę miasta.



Góra Trzech Krzyży z perspektywy
Góry Giedymina



Widok na panoramę miasta
z Góry Giedymina



Obiad postanowiłam zjeść w restauracji Etno Dvaras, która serwuje tradycyjne litewskie potrawy. Jak się później okazało, zaglądałam tam już do końca pobytu w Wilnie, ponieważ oprócz pysznego jedzenia, restauracja urzekła również wnętrzem. Bardzo pozytywnie zaskoczyła mnie też otwartość na czworonożnych przyjaciół swoich klientów, co było dla mnie bardzo ważne, gdyż w podróży towarzyszył mi mój pies Harley.

We wtorek i środę włóczyłam się po Starym Mieście. Zajrzałam na ulicę Szklaną, Żydowską, Literatów, oraz Zarzecze. Na koniec odwiedziłam Muzeum Archeologiczne, prezentujące historię średniowiecznej Litwy oraz życie jej mieszkańców. Wracając do mieszkania wstąpiłam do hali targowej przy Pylimo Gate, by zaopatrzyć się w lokalne specjały, jak sękacz, chleb miodowy na tataraku, chałwę i żółty ser.

W czwartek zdobyłam Górę Trzech Krzyży¹, a w drodze powrotnej na Starówkę zwiedzałam kościoły i cerkwie, które bardzo często na przestrzeni wieków zmieniały swoją funkcję – raz dany obiekt sakralny służył katolikom, innym razem prawosławnym. Ogromne wrażenie zrobił na mnie Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ku mojemu rozczarowaniu widziałam go tylko przez chwilę, ponieważ przez większość czasu jest zasłonięty, a okno przez które można go dojrzeć z ulicy zamknięte. W pobliżu Ostrej Bramy znajduje się domniemana cela Konrada, bohatera trzeciej części „Dziadów” wielkiego wieszczki romantyzmu Adama Mickiewicza. Przypuszczalnie jest to miejsce, w którym więziony był sam Mickiewicz zanim został wygnany. Kilkadziesiąt metrów dalej mieści się siedziba Muzeum poświęconego poecie.

¹ Góra Trzech Krzyży to kolejny symbol walki o niepodległość Litwy, w średniowieczu wznosił się tam Krzywy Zamek. W jednej wersji legendy upamiętniają męczeńską śmierć trzech franciszkanów, według innej nadanie Praw Magdeburskich miastu.



Tablica upamiętniająca Adama Mickiewicza



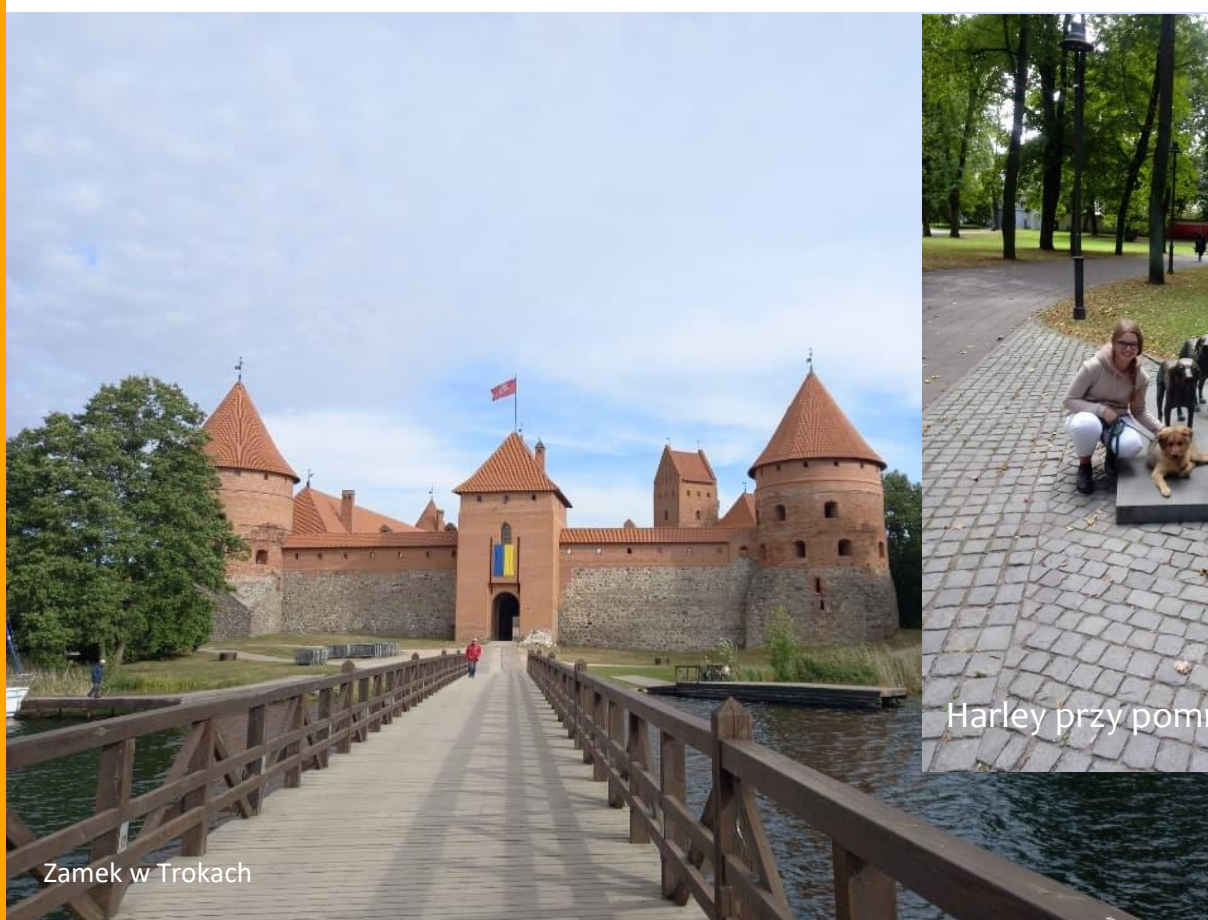
tradycyjne litewskie cepeliny



Harleyek

Wieczorem czekało mnie znienawidzone pakowanie, ponieważ w piątek wracałam do domu. Postanowiłam skorzystać z okazji i wracając do Polski wjechać do Troków¹ i Druskiennik². Stamtąd znowu czekała mnie 9 godzinna jazda. Tym razem jednak, pamiętałam już o zmianie czasu.

Wiem, że na pewno odwiedzę jeszcze Wilno. Nie tylko dlatego, że ma ono niezwykle urok i historię, również dlatego, że zwyczajnie zabrakło mi czasu, by pójść na Cmentarz na Rossie-jedną z czterech polskich nekropolii narodowych, w którego skład wchodzi Mauzoleum Matki i Syna - grób Marii z Billewiczów Piłsudskiej oraz urna z sercem Józefa Piłsudskiego.



Zamek w Trokach



Harley przy pomniku piesków

tekst i zdjęcia: **Michalina Tabaka**

¹ Troki to ośrodek religijny i kulturalny Karaimów oraz jeden z najbardziej rozpoznawalnych zamków Litwy. To właśnie w tym mieście rozgrywały się wydarzenia z sienkiewiczowskiego "Potopu".

² W Druskiennikach mieściło się w okresie międzywojennym uzdrowisko. Wypoczywała tam elita polityczna i intelektualna II RP. Częstym gościem był tam sam Piłsudski.



„Nigdy nie wiesz, co się czai za kolejną górą”

Wycieczka, którą tu opisuję, odbyła się w sierpniu tego roku i jest fragmentem obozu wędrownego 11. Poznańskiej Drużyny Wędrowniczej „Trakt”, będącej spadkobiercą 11. Poznańskiej Drużyny Harcerskiej, czyli drużyny, która jako pierwsza zdobyła (i opisała ten fakt) Koronę Poznania zimą. Właśnie idąc w jej ślady Koło Turystyczne poprawiało wynik tej trasy kilka lat później (o czym więcej można przeczytać w 3 numerze Rozjazdów).

To było parne popołudnie, kiedy stanąłem na zatłoczonym peronie Bucuresti Nord – głównego dworca w Bukareszcie. Sam budynek, jak i podłużne betonowe platformy wyglądały bardzo niezachęcająco, czysto użytkowo. Można było poczuć na własnej skórze i zobaczyć na własne oczy, jak cieplejszy klimat wypalał kolorowe metale, a cegły nasiąkały ludzkim potem. Po dość długim i nudnym

oczekiwaniu, na peron wtoczyła się metalowa maszyna, która bardziej przypominała puskę niż lokomotywę. W wagonach, jak się okazało, nie było już tak źle. Pociąg do Braszowa jechał przez góry, a mówiąc konkretniej góry Bucegi, które mieliśmy w planach lepiej poznać.

Gdy wysiedliśmy na dworcu w Sinaii, zaskoczyła nas nagła zmiana pogodowa. Góry jak to góry – są nieprzewidywalne. Temperatura w odróżnieniu od tej w Bukareszcie spadła zdecydowanie poniżej takiej, która nadawałaby się na krótki rękaw. Z peronowych wiat spływała deszczowa woda, spadając na przemoczone podkłady torów. Patrzyłem w górę – wiedziałem, że tam gdzie powinienem zobaczyć wierzchołki dwutysięczników gór Bucegi, zalegała biała otulina, przez którą co jakiś czas prześwitywały tylko skalne przyczółki.

Decyzją wspólną całej grupy, podyktowaną zastanymi warunkami, postanowiliśmy wjechać na jeden ze szczytów kolejką górską. Muszę przyznać, że o ile chętnie pokonałbym przewyższenie na piechotę, to absolutnie nie żałuję skorzystania z podwózki. Wagonik mieścił w sobie około 30 osób, a trasa całego wyciągu była podzielona na dwa odcinki. Łącznie były to cztery gondole. Z pewnością kolejka miała już swoje lata, co jednak dodawało jej niesamowitego uroku. Gondole miały swój charakterystyczny wygląd: czerwonych, lekko zaokrąglonych sześcianów z panoramicznym oknem. Jadąc stłoczeni w czerwonym wagoniku, nie doświadczaliśmy specjalnie widoków. Jedynym wskaźnikiem zwiększającej się wysokości były zatykające się uszy.



Gondola, obijając się od gumowych zabezpieczeń peronu stacji końcowej, właśnie kończyła swój ostatni ruch. Drzwi otworzyły się z charakterystycznym trzaskiem wieloletniego metalowego mechanizmu. Wyszedłem na peron, a przede mną ukazał się pierwszy widok zielonych zboczy gór Bucegi. Przerzedzone chmury zaczęły ukazywać szerokie łąki i drobne rumowiska dziwnie gliniano-ziemnej skały. Pogoda poprawiała się, wyruszyliśmy więc do naszego pierwszego celu – Cabana Piatra Arsa.

Chmury zeszły wreszcie poniżej głównego pasma. Wysokie na ponad 2000 m n.p.m. góry znacznie różniły się od swoich polskich odpowiedników, tatrzańskich szczytów. Uczucie było porównywalne do przebywania na nadmorskich klifach wysp brytyjskich. Szerokie połacie falujących, zielonych od trawy obgryzanej przez owce wzniesień poprzecinane piaszczystymi ścieżkami. Zamiast 100-metrowej przepaści zakończonej morzem, tu była przepaść 500-metrowa przykryta białą połącią chmur. Kolejną cechą gór Bucegi jest stosunkowo duże ich zagospodarowanie przez ludzi. Gdy dotarliśmy do „schroniska” Piatra Arsa, okazało się, że raczej należałoby to nazwać hotelem, który miał swoją drogę, parking, a nawet boisko treningowe. Po chwili przerwy przed cabaną wrócił Wojtek i powiedział:

- Cena za nocleg to 300 lei.
- Za całość grupy?
- Nie, za jedną osobę.

Warto tu dodać, że wartość lei w tym momencie była mniej więcej równa wartości złotówki, więc nasz budżet zdecydowanie nie był w stanie znieść takiego wydatku. Byliśmy w kropce. Jaki mamy inny wybór, skoro byliśmy na 2000 m n.p.m.?

- Niedaleko stąd, na mapie, jest jakaś chatka.
- Lepsze to niż ziemia.

Tak właśnie podjęliśmy decyzję i po 10 minutach marszu ukazała się nam... ściana. Jedna ściana z fragmentem dachu. Sytuacja była tak tragiczna, że aż śmieszna. Podeszliśmy bliżej i z ulgą stwierdziliśmy, że obok znajduje się druga chatka. Jednak drogę zagradzało nam „morze” owiec. Przy chatce stało dwóch pasterzy. Patrzyłem, jak Wojtek i Staś rozmawiają z pasterzami, a przynajmniej myślałem, że tak było... Po jakichś 5 minutach pomachali do nas, żebyśmy podeszli.

Gdy znaleźliśmy się przy nich, od razu podbiegło do nas kilka psów. Pasterz uspokoił niespokojne zwierzęta. Podeszedłem do Wojtka i zapytałem:

- I co? Co, powiedzieli?

– Nie wiem, nie jestem pewien, czy oni w ogóle mówią po rumuńsku. Po angielsku na pewno nie.

– Ale zgodzili się?

– Nie powiedzieli nie – odpowiedział.

Weszliśmy do chatki. Wtedy zacząłem mieć wątpliwości, czy w ogóle ci pasterze mieli jakikolwiek związek z tym budynkiem, jeśli można nazwać to, w czym się znaleźliśmy. Wnętrze było podzielone na trzy pomieszczenia. Jedno miało palenisko i dziurę w dachu, drugie było szczelne i pełne porozbijanego szkła, natomiast trzecie... Zamiast podłogi miało dziurę. Mówiąc krótko, tylko środkowe pomieszczenie nadawało się jakkolwiek do snu.

Zaczęliśmy robić sobie posiłek na palniku. Przy okazji podejmowaliśmy też próby nawiązania kontaktu z pasterzami – próba kontaktu to jednak dużo powiedziane. W gruncie rzeczy zakończyło się na kontakcie wzrokowym i siedzeniu w ciszy. Wojtek postanowił przyrządzić kawę. Pomyślałem, że ten napój może jakoś pomóc w naszej mikrointegracji z lokalną społecznością. Wskazałem na worek z kawą. Jeden z pasterzy pokiwał głową. Drugi symbolicznie przyłożył dwa palce do ust i wydmuchał powietrze. Jako harcerze oczywiście papierosów nie posiadaliśmy, więc przecząco odmachaliśmy głową. Pasterz odpowiedział zbolalym grymasem.

Kiedy daliśmy im kawę, ten pierwszy powiedział:

– Merci – po czym nastąpiła chwila ciszy i odezwał się ponownie.

– Polonia?

– Si – ktoś z nas odpowiedział.

– Och, Lewandowski.

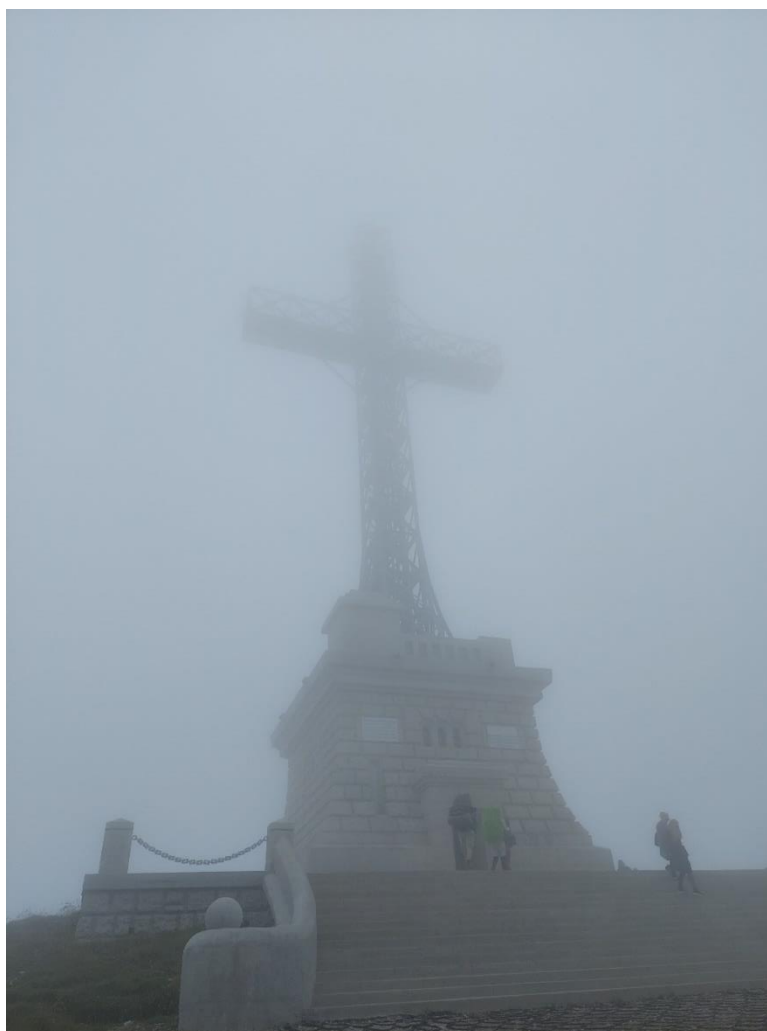
Były to jedyne słowa, jakie usłyszeliśmy od tych ludzi. Krótko po wypiciu kawy pasterze zaczęli się dość szybko zbierać, podziwialiśmy, jak psy pasterskie sprawnie zaganiały owce w jedną grupę. Nie byliśmy wtedy świadomi tego, co się dzieje. Tuż po tym, jak przestaliśmy słyszeć ostatnią owcę, zza grani wyłoniły się chmury. W kilka sekund z ładnego wieczoru nic nie zostało. Widoczność spadła właściwie do

zera, zrobiło się ciemno i zimno, mimo jeszcze wczesnej godziny. Wymusiło to na nas „zagęszczenie ruchów” w celu stworzenia sobie naszego 13-osobowego „łóżka”, jeśli tak można nazwać stertę karimat i tarpów na 4 metrach kwadratowych.

Lekko poturbowany przez noc, wstałem rano i zobaczyłem... No właśnie, nic nie zobaczyłem. Biała kurtyna wciąż przysłaniała wszystko. Nie licząc jedynie porastających nieopodal trawek.

Nie był to zbyt szybki poranek. Jednak po powolnym zjedzeniu śniadania i wypiciu kawy lub herbaty usłyszeliśmy owce – pasterze wracali. Był to dobry moment dla nas, żeby zebrać się (w sobie) i wyruszyć w dalszą drogę. A cel – najwyższy szczyt gór Bucegi był dość odległy. Szlaki w górach Bucegi mają dość przyjemne oznakowanie. Zdecydowanie nawigacja byłaby trudniejsza, gdyby nie rozstawione co 20-50 metrów białe-czarne słupki z oznaczeniami szlaków na szczycie. Znaki te przyjmują te same kolory, co w Polsce, ale inne są ich kształty. Można tu spotkać kwadraty, kółka, trójkąty, krzyże i romby w białych obwódkach, natomiast „polskich” prostokątów tu akurat nie uświadczymy.

Te szlaki właśnie wiodły nas od schroniska do schroniska, pokazały nam swego rodzaju symbol gór – Sfinksula – charakterystyczną formację skalną, która swoim wyglądem przypominała egipskiego Sfinksa. Ale też wielki krzyż. I nie mówimy tutaj o skali tego z Giewontu. Ten był dużo większy, stał na betonowym podeście, a w środku miał pomieszczenie zaaranżowane „ku pamięci” armii rumuńskiej.



Przejaśnienia występowały sporadycznie, a biała ściana chmur właściwie nieustannie przesłaniała jakiekolwiek widoki. Po kilku dobrych godzinach marszu przemoczeni, zmęczeni, ale i pełni wrażeń dotarliśmy do najwyższego punktu trasy – jednocześnie też do najwyższej położonego schroniska w całych Karpatach. Omu cabana położona na 2505 m n.p.m. nie posiadała wody i sensownej toalety, ale miała ciepłe pomieszczenia, łóżka i bardzo dobrą kawę i omlet. Nocleg zapowiadał się bardzo międzynarodowo. Oprócz nas na sali ulokowali się również Holendrzy, Niemcy, Francuzi, Belgowie i Czesi. Ale oczywiście jako prawdziwy Polak musiałem, zanim pójde spać, zobaczyć jeszcze zachód słońca. Zdecydowanie się nie zawiodłem. W klapkach, przy temperaturze około 5 stopni, wpatrywałem się w jaskrawo pomarańczowy, przechodzący w fiolet i potem granat horyzont. Chmury, jakby chcąc wynagrodzić trud dnia, łaskawie zeszyły poniżej linii szczytów i ze skalnych wierzchołków tworzyły niejako wyspy.



Mówi się, że góry Bucegi są górami tajemniczymi, magicznymi. Może coś w tym jest, czy to przez fakt, że u ich podnóża swoje rządy sprawował hrabia Dracula, czy z powodu charakterystycznych formacji skalnych, które przypominają różne bóstwa i zwierzęta, i często okrywają się chmurami, co dodaje im tajemniczości. A może po prostu wszystkie góry są tajemnicze i magiczne, wystarczy trafić tylko na odpowiedni moment?

tekst i zdjęcia: **Igor Stryniak**

Agroturystyka jako forma wypoczynku z dala od miast



Źródło: dzieciocchatki.pl

Agroturystyka to nic innego jak forma wypoczynku w warunkach wiejskich u rolnika, kiedyś nazywana “wczasami pod gruszą”. Należy do turystyki wiejskiej. Jeżeli gospodarstwo rolne chciałoby posiadać profil agroturystyczny, musi oferować coś więcej dla turystów niż tylko nocleg i wyżywienie pod jednym dachem. Gospodarstwo agroturystyczne powinno przede wszystkim umożliwić udział w przeróżnych pracach polowych, które zależą od pory roku i regionu. Jednak jak wiemy, praca rolnika nie ogranicza się tylko do pracy w polu (zależy to od profilu gospodarstwa rolnego), rolnicy zajmują się również hodowlą zwierząt. Mówiąc o hodowli zwierząt mam tutaj na myśli m.in.: chów bydła, trzody chlewnej czy drobiu. Podczas pobytu w gospodarstwie agroturystycznym, który zajmuje się hodowlą zwierząt np. krów, możemy pomóc, lub zobaczyć na żywo jak wygląda dojenie i oprzątanie takich zwierząt. Jeśli jednak forma spędzania czasu na polu, albo ze zwierzętami nas nie interesują, możemy np.: nauczyć się haftować w stylu ludowym dla danego regionu, bądź wziąć udział w warsztatach garncarstwa.

Najważniejszą ideą agroturystyki jest wzrost atrakcyjności obszarów wiejskich, który można wyrazić poprzez wzrastającą cenę

ziem rolnych i obszarów wiejskich. Agroturystyka przyczynia się m.in. do rozwoju miejscowej infrastruktury. Im intensywniej rozwija się agroturystyka w danym regionie, tym jest większe zapotrzebowanie na produkty rolnicze (np. mleko, jajka, warzywa, mięso). Daje dodatkowe dochody gospodarstwom rolnym, a co za tym idzie także i budżetom lokalnym. Kolejnym celem agroturystyki jest ochrona wiejskiego stylu życia i widoczny wzrost dochodów ludności wiejskiej, poprzez aktywizację (ożywienie) na miejscowym rynku pracy, co ma przeciwdziałać w wyludnianiu wsi i tym podobnych obszarów. Agroturystyka jest kierowana szczególnie do mieszkańców dużych aglomeracji, którzy na co dzień nie mają styczności z życiem na wsi. Poza tym wypoczynek w gospodarstwach agroturystycznych będzie idealny dla ludzi, którzy żyją w ciągłym biegu i nie zwracają większej uwagi na naturę i środowisko w którym żyjemy. Agroturystyka powinna promować produkty odzwierzęce, ale także tradycję i kulturę dla regionu w jakim wypoczywamy. Uważa się, że agroturystyka to także ekoturystyka, ponieważ ma realny wpływ na środowisko. Jej celem jest promowanie zdrowego stylu życia zgodnego z naturą, np. spędzanie czasu w ekologicznym gospodarstwie z dala od dużej aglomeracji, w trakcie którego będziemy chodzili na przeróżne piesze wycieczki czy to do pobliskiego parku narodowego czy nad jezioro. Ekoturystyka jest bardzo ważna, ponieważ może uświadamiać ludzi o tym, że żyjąc w dużym mieście mogą mieć szkodliwy wpływ na środowisko naturalne poprzez np. zapominanie o zasadach prawidłowej segregacji odpadów. Agroturystyka jest dobrą alternatywą wypoczynku dla osób mniej zamożnych, których nie stać np. na wyjazd za granicę. Jeszcze inną zaletą jest to, że zatrzymuje młodych ludzi w gospodarstwach, którzy dostrzegają potencjał, jakim jest utworzenie gospodarstwa agroturystycznego.

Jeśli wszystko ma swoje korzyści to musi też mieć jakieś negatywy, tak samo jest z agroturystyką. Jednym ze skutków, jak potwierdzają badania są przemiany gruntów rolnych, a co za tym idzie wyłączenie ich z produkcji rolniczej na cele wypoczynkowe

i rekreacyjne (np. boiska do piłki nożnej). Kolejnym negatywnym skutkiem jaki może wywołać agroturystyka na obszarach wiejskich to znaczący wzrost nieużytków rolnych.

Agroturystyka w mniejszym bądź większym stopniu wpływa na okoliczną społeczność, ale także na przyjezdnych, np. poprzez nowe stanowiska pracy i uświadamianie gości o ochronie środowiska. Poza tym ma wpływ również na środowisko i utrzymanie tradycji danego regionu w jakim gospodarstwo agroturystyczne się znajduje. Gdy rolnictwo traci na znaczeniu, ludność wiejska postrzega agroturystykę jako źródło dochodów i szansę na zatrudnienie. Agroturystyka wpływa pozytywnie na rozwój lokalnej przedsiębiorczości. W gminach o dużym zagęszczeniu gospodarstw agroturystycznych wyraźnie widać wypieranie rolnictwa na rzecz rozwoju agroturystyki. Z tego powodu taki obszar traci na walorach wiejskości.

tekst: Michał Choryński

BIBLIOGRAFIA:

- Tomasz Rachwał, "Oblicza Geografii 2" Podręcznik dla liceum ogólnokształcącego i technikum, zakres rozszerzony,
- Youtube, kanał: " ToTemat", nazwa: "Co to jest Agroturystyka",
- Mariola Tracz; Małgorzata Bajgier-Kowalska, "Oddziaływanie agroturystyki na rozwój lokalny na przykładzie Karpat", Polska 2019,
- Michał Roman; Arkadiusz Niedziółka, "Agroturystyka jako forma przedsiębiorczości na obszarach wiejskich", Warszawa 2017,
- Wikipedia, wolna Encyklopedia - Agroturystyka,
- glinka.beskidy.pl - Najważniejsze zalety agroturystyki, agrinpol.pl - Cele turystyki wiejskiej

KONTROLA PASZPOR- TOWA

Imię. Nazwisko. Paszport. Po co pan/pani tu przyjechała? Czy ma pan/pani coś do oclenia? Niezmienny zestaw pytań powtarzających się kiedyś przy przekraczaniu każdej granicy. My też postanowiliśmy przygotować stały kwestionariusz dotyczący podróżowania, a o odpowiedzi będziemy prosić obecnych członków Koła Turystycznego oraz absolwentów.



Dziś kontrolę graniczną przechodzi Zofia Wawrzyniak, która brała udział w 9 wyprawach Koła Turystycznego w latach 2017-2020.

Top 5 miejsc z Twojej listy wymarzonych miejsc do odwiedzenia.

1. Kostaryka - ratowanie żółwi
2. Australia - pływanie przy wielkiej rafie koralowej
3. Madagaskar - wolontariat z dziećmi
4. Tajlandia - cała, wszystko wszędzie, szczególnie jedzenie
5. Islandia - zorza polarna i przyroda

Góry czy morze?

Wydaje mi się, że góry, ale nie ma nic piękniejszego niż wędrówka po górach z widokiem na morze.

Zawsze na czas czy wiecznie spóźniony?

Zdecydowanie wiecznie spóźniona i zaspana. Z jednym wyjątkiem kiedy trzeba wstać na pociąg czy samolot, wtedy to nawet jestem przed czasem.

Miejsce, które w odbytych do tej pory podróżach zrobiło na Tobie największe wrażenie?

Naturalne termy na Kosie. Wypływająca z gór gorąca woda mieszana w źródelku z falami morskimi, a po zachodzie pełno gwiazd. Spędzanie tam czasu było jak z bajki.

Motto w podróży:

It is what it is. Nie przejmować się tylko brnąć do przodu.

Przed wyjazdem pełen spokój czy rajzefiber?

Pełen spokój. Wyjeżdżam żeby się nie stresować. Pracując w Grecji nauczyłam się podejścia siga siga (czyli powoli, spokojnie, bez pośpiechu przyp. red.) i się go trzymam.

Na Giewont w szpilkach czy w klapkach?

Klapeczki wszędzie dadzą radę.

Jaki nastrój, taka pogoda czy jaka pogoda, taki nastrój?

Jaki nastrój taka pogoda. Z dobrym humorem i nastawieniem nawet burza jest piękna.

O wszystkim mogę zapomnieć, ale zawsze spakuję do plecaka...

Czapkę, ratuje od wiatru, słońca i czasem przed spojrzeniami.

Twoja najbardziej szalona podróżnicza przygoda.

Załamana siedziałam kiedyś na chodniku i podjechał samochód z parą Greków, którzy zaczęli mnie pocieszać, zaprosili na piwko i kanapkę, więc pojechałam z nimi. Zante to mała wyspa i okazało się, że mamy wspólnych znajomych i w taki sposób z kryzysowej sytuacji poznałam lokalsów, z którymi później spędziłam super czas na wyspie.

Najsmaczniejszy lokalny przysmak, który jadłeś.

Znowu o Grecji, ale Kocham pitę z halumi, zawsze i wszędzie mogę ją zjeść.

Jak trafiłeś do Koła Turystycznego?

Przez przypadek. Zawsze lubiłam chodzić po górach i po pamiętnej zaporze Pilchowice nie mogłam już zrezygnować.

Najlepszy sposób na relaks po wyrzpie z Kołem – krótka drzemka czy partyjka Time's Up! z prof. Matuszewskim w drużynie?

Jest tylko jedna dobra odpowiedź i jest to emocjonująca partyjka w Time'sa, szczególnie w drużynie z prof. Matuszewskim.

Co najbardziej lubisz w wyjazdach z Kołem?

Uwielbiałam atmosferę. Czy się znaliśmy przed wyjazdem czy nie, zawsze czułam się jak z taką małą rodziną.

Zapora Pilchowice?

Po paru latach już mi się wydaje, że nawet z lwami musieliśmy walczyć po drodze. Ale coś magicznego w sobie miała, bo pomimo tego, że była to moja pierwsza wycieczka z kołem zachęciła mnie do pozostania w nim.

Pismo „RozJazdy”

nr 8 / 2023

publikacja: luty 2023

Wydawca:

**Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego
i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu**



Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski

Redaktor naczelna: Nikola Wolszczak

Redakcja techniczna: Igor Stryniak, Jakub Raszewski

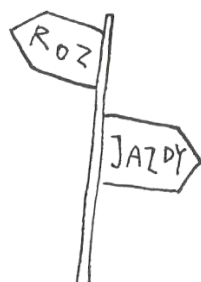
Grafika, rysunki: Milena Podlas

Promocja: Julia Kolińska i Przemysław Staszczak

Zdjęcia w numerze: kronika Koła Turystycznego i archiwum „RozJazdów”



A znaleźć nas można również
na Instagramie
oraz Facebooku.



Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,

mamy nadzieję, że ten numer „RozJazdów” okazał się pożyteczny, interesujący czy po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś współtworzyć pismo i dołączyć do naszego zespołu, to serdecznie zapraszamy do kontaktu pod adresem:
rozjazdy@9lopozn.pl